

Dar świadomości

Autor tekstu: **Lucjan Ferus**

Motto:

"Jest jedno jedyne dobro przeznaczone dla człowieka, a jest nim
wiedza i jedno jedyne zło, a jest nim niewiedza".
Sokrates

"Poznanie nie ma końca, poszerza nasze horyzonty, a jednocześnie
powiadamia nas o rosnących rozmiarach ignorancji".
S. Lem

Ta historia, która chcę wam przedstawić wydarzyła się wiele lat temu. Nie opowiadałem jej dotąd nikomu, gdyż jest ona tak nieprawdopodobna i niewiarygodna, iż sam już nie wiem, czy przydarzyła mi się ona naprawdę, czy jest tylko splotem różnych wypadków połączonych w całość przez moją bujną wyobraźnię. Mimo to, uważam ją za na tyle intrygującą i ciekawą, że postaram się opowiedzieć ją najlepiej jak potrafię, tak jak ją zapamiętałem.

Otóż wszystko wskazuje na to, iż pewnego razu na ziemi pojawił się bardzo tajemniczy człowiek, obdarzony niespotykanymi u ludzi zdolnościami. Nikt nie wiedział skąd pochodził, gdzie się urodził ani jakich miał rodziców. Nikt nie znał szczegółów z jego dzieciństwa. Wszystko co na ten temat ludzie wiedzieli, okazało się późniejszymi legendami, napisanymi po to, by wypełnić tę kompromitującą lukę w życiorysie tego, który tak wiele dał innym, samemu nic nie biorąc w zamian. Ludzie zbyt późno zorientowali się jaki dar posiadał ten człowiek i w jaki sposób ów dar wykorzystał.

Jak wyglądał ten mężczyzna? Tego także prawie nikt nie wie (a ci co wiedzą, nie ujawniają tego), więc logiczny stąd wniosek, iż musiał nie wyróżniać się wyglądem spośród współziomków. Nie został więc po nim (a raczej o nim) żaden ślad w pamięci ludzi, prócz tego co im przekazał. Czy to nie dziwne? Tak, jakby nie tylko nie szukał rozgłosu, ale też zabezpieczył się przed jakąkolwiek wiedzą o swojej osobie, nie pozostawiając jej w umysłach tych, z którymi się kiedykolwiek zetknął.

Popularnie uważa się (teraz, wiele lat po tych wydarzeniach), iż musiał mieć on swoich uczniów, którzy potem przejęli jego dzieło, zwiększając zasięg jego oddziaływania. Nieprawda! Miał raczej naśladowców, epigonów; bo czyż może wąty płomyk świecy zastępować latarnię morską a ognisko słońce?

Może więc znane są choć jakieś szczegóły jego domniemanej śmierci? Niestety nie. Krąży co prawda parę wersji tego wydarzenia, lecz są one sprzeczne ze sobą i nie potwierdzone żadnymi wiarygodnymi dokumentami. Może kiedyś prawda na ten temat wyjdzie na jaw z racji, iż „czas odsłania prawdę”. Na razie jednak nie wiemy nic pewnego.

Nie, nie! To nie tak! Czytając te słowa może odnieść mylne wrażenie, iż chodzi o jakąś nową wersję życiorysu Jezusa z Nazaretu. Nic bardziej błędnego; nie mam aż takich apologetycznych ambicji. Rzecz się dzieje współcześnie i najlepiej będzie jak zacznę od początku tej nieprawdopodobnej historii.

Ja, sceptyk i agnostyk w jednym, raz w życiu zetknąłem się z czymś cudownym i nadprzyrodzonym (tak mi się przynajmniej to wtedy wydawało)... i dzięki nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności, przyczyniłem się do zniszczenia tegoż. Opiszę wam jak do tego doszło, gdyż jako początkujący dziennikarz interesowałem się tą sprawą z zawodowej ciekawości, a dopiero z czasem stała się ona moją prywatną pasją, obsesją bez mała.

Pamiętam, że było to moje pierwsze „poważne” i samodzielne zadanie, które zlecił mi naczelny przed wyjazdem na urlop. Miałem w bazie danych (to taka dziennikarska składnica niewykorzystanych newsów) wyszukać wiadomości, które po odpowiednim przetworzeniu i ubarwieniu mogłyby stać się „sensacjami” w sam raz na sezon ogórkowy. Powiecie zapewne, iż to nic szczególnego, ale ja cieszyłem się jak dziecko i zabrałem się z dużym zapałem za tę robotę. Siedziałem przy komputerze już trzecią godzinę (na zewnątrz było ponad 30 st. C) i miałem dopiero dwie „sensacje”: w noteckiej puszczy znaleziono grzyba olbrzyma i działkowiec amator wyhodował pomidora wielkości dyni. A powinienem mieć ich przynajmniej dziesięć, zgodnie z zaleceniem szefa.

Minęły następne dwie godziny, kiedy moją uwagę zwróciła lakoniczna notatka z dopiskiem „wiadomość nie potwierdzona”. Otóż z miejscowości N., z połowy drogi do celu zawróciła pielgrzymka wiernych, zdążająca do Częstochowy. Wiadomość była sprzed dwóch tygodni. Hmm,... to ciekawe, pomyślałem sobie i dopisałem tę wiadomość do poprzednich dwóch, nie zastanawiając się na razie nad przyczynami tego niecodziennego w naszych realiach wydarzenia.

W czasie następnej godziny natknąłem się na drugą, podobną w wymowie wiadomość: w miejscowości P., wierni z tamtejszej parafii, którzy od trzech dni okupowali jeden z kościołów, broniąc do niego dostępu nowemu proboszczowi wyznaczonemu przez biskupa wbrew ich woli (poprzedni był porządnym i dobrym człowiekiem, który wiedział, że społeczność jest biedna), nagle odstępili od drzwi okupowanej świątyni, rozeszli się do domów... i przestali uczęszczać na msze św.! Tu też widniał dopisek: „wiadomość nie potwierdzona”.

Dziwne, pomyślałem sobie. Zaczęła mnie ta sprawa interesować. A kiedy sprawdziłem, że te dwie miejscowości leżą od siebie o przysłowiowy „rzut kamieniem”, postanowiłem wyjaśnić przyczyny tych wydarzeń na miejscu. Dostałem na to zgodę zastępcy naczelnego z zaleceniem szybkiego powrotu i już następnego dnia byłem w pierwszej miejscowości, czując się co najmniej jak Bond. Od razu na początku wyjaśniło się dlaczego ta wiadomość była nie potwierdzona; nikt z bezpośrednich świadków tego wydarzenia nie chciał ze mną rozmawiać na ten temat. Ale ja byłem uparty i ambitny. Postanowiłem rozwikłać tę sprawę za wszelką cenę, a dziwna „amnezja” uczestników tej pielgrzymki tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, iż musiało wydarzyć się wtedy coś wyjątkowo tajemniczego.

Swoje dziennikarskie śledztwo postanowiłem zacząć od księdza, który prowadził tę feralną pielgrzymkę. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, iż ksiądz ten już nie „pracuje” w firmie.

- Został zwolniony dyscyplinarnie? — spytałem podchwytliwie jego następcę.

- Bynajmniej. Odszedł na własną prośbę — usłyszałem, nim zamknięto mi przed nosem drzwi plebani. No! To już zaczęło mnie intrygować. Co takiego tam mogło zajść?! Musiałem to wyjaśnić, żeby nie wiem co!

Nie było to jednak wcale łatwe. Zachowanie uczestników pielgrzymki było co najmniej dziwne, jeśli nie podejrzane. Odniosłem niejasne wrażenie jakby **wstydzili się** swego uczestnictwa w tej religijnej peregrynacji i chcieli o tym jak najszybciej zapomnieć. Zauważyłem jeszcze jedno; można było z nimi rozmawiać dosłownie o wszystkim, byle nie o tym wydarzeniu. A wiedzę mieli doprawdy imponującą i w bardzo szerokim zakresie.

Coś mi tu nie grało! Nie tak wyobrażałem sobie przeciętnych uczestników religijnych obrzędów. Zawsze mi się to kojarzyło raczej z ograniczeniem intelektualnym, ciemnotą umysłową — a nie z otwartym umysłem i szeroko pojętym, naukowym bez mała światopoglądem.

Nie mogąc zaspokoić swojej ciekawości u bezpośrednich świadków tego coraz bardziej intrygującego mnie wydarzenia, porozmawiałem z ich sąsiadami. Z tymi, którzy nie brali udziału w tej „zawróconej” pielgrzymce. Oni też nie wiedzieli co się stało i sami „zachodzili w głowę”, jak to się popularnie określa. Co do jednego większość z nich była zgodna: wszyscy ci, którzy brali udział w tym tajemniczym wydarzeniu, zmienili się nie do poznania; wyglądało to tak jakby wrócili zupełnie **inni** ludzie: bardzo mądrzy (ale nie przemądrzali, to podkreślali wszyscy), w jakiś dziwny sposób spokojni, zadowoleni z życia i pełni wewnętrznej siły.

Ale najważniejsza zmiana zaszła u nich w sferze religijnych zachowań; przecież to byli ci „najlepsi z najlepszych” jak to się określa językiem mediów. Ci najgłębiej wierzący, ci, którzy nie opuścili nigdy żadnej mszy, żadnego nabożeństwa ani uroczystości religijnej. Ich dewocja raziła co bardziej normalnych ludzi i była często powodem kpin.

A teraz proszę; w ogóle przestali chodzić do kościoła i uczestniczyć w religijnym życiu społeczności. I to z dnia na dzień dosłownie! Za to często można ich widzieć w księgarniach lub jedynej w miasteczku bibliotece. Wielu z nich kupiło sobie komputery, zainstalowało Internet, a niektórzy nawet telewizję satelitarną. Tak, jakby nagle zrobili się bardzo **ciekawi** otaczającego ich świata, życia i wszystkiego co wiąże się nie tylko ze zwykłą szarą egzystencją z dnia na dzień.

Ta ich nagła i dogłębna zmiana bardzo niepokoiła ludzi i wielu z nich upatrywało w tym działanie diabła. Niektórzy postulowali, aby posłać po egzorcystę, lecz zostali wyśmiani przez samych „zainteresowanych”, którzy zresztą nie sprawiali żadnych kłopotów bliźnim, w przeciwieństwie do ich wcześniejszych zachowań. I to, jak się okazało, także niepokoiło ludzi; oni po prostu zbyt wyraźnie wyróżniali się od reszty społeczności, nie potrafiącej pojąć **przyczyny** ich

zmiany. Byli odmieńcami, a to jest niewybaczalne i to nie tylko u nas.

Uzbroiwszy się w tę wiedzę, ponowiłem próbę przełamania niechęci byłych pielgrzymów do rozmowy. Tym razem jednak na wyższym poziomie intelektualnym. Moje próby przekonania ich, że jestem jednym z nich, jeśli chodzi o zasób **wiedzy**, rozbawił co poniektórych, ale przynajmniej udało mi się „przełamać lody” i dowiedziałem się wreszcie od jednej z młodych uczestniczek, co takiego tam zaszło.

Otóż z pozoru nic specjalnego; w pewnym momencie do wypoczywających pielgrzymów podszedł nieznajomy mężczyzna i każdemu z nich podawał rękę, cichym głosem wypowiadając jakieś słowa. Przedstawiał się zapewne, tak odbierali to postronni. Potem zniknął tak nagle jak się pojawił, bez słowa pożegnania. I to wszystko. — Ale co to były za słowa? — spytałem niecierpliwie w nadziei, iż mam na wyciągnięcie ręki rozwiązanie tej frapującej zagadki.

- Nie wiem... — odparła dziewczyna — i co ciekawe, że nikt tego nie wie. Nikt ich nie zapamiętał po prostu. Lecz każdy pamięta jego oczy o przenikliwym hipnotycznym spojrzeniu. Ten jego wzrok zapamiętam chyba do końca życia — dodała. — I co było dalej? — ponaglałem ją, a ona uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. — Nic takiego,... musiałam się chyba zdrzemnąć, albo straciłam przytomność. A kiedy się ocknęłam byłam już zupełnie innym człowiekiem. Krótko mówiąc posiadam teraz wiedzę, którą powinien zapewne posiadać każdy rozumny człowiek. I aż wstyd się przyznać jak przerażająco mało dotąd wiedziałam, mimo iż wchodzę już w dorosłe życie... teraz dopiero to widzę — dodała ciszej jakby do siebie. — Więc to tylko tyle?! — zawołałem z niedowierzaniem. — Tylko tyle?! — odparła pytaniem na pytanie, patrząc na mnie z nieomal politowaniem.

Trzeba to samemu doświadczyć, aby zrozumieć ten cud! Bo dla mnie jest to cud oczywisty! I dla wszystkich, którzy tego doświadczyli, wierz mi! — uściśniła mi dłoń na pożegnanie, uznając naszą rozmowę za zakończoną. Cóż było robić?

I tak sporo się dowiedziałem, zakładając, że to była prawda. Choć jakoś nie bardzo mogłem w to uwierzyć; tajemniczy hipnotyzer przekazujący telepatycznie wiedzę prosto do umysłów ludzi? To byłaby dopiero sensacja nie tylko na sezon ogórkowy! Wrodzony sceptycyzm jednak mi podpowiadał, że musi kryć się w tym jakiś szwindel albo mistyfikacja. Trzeba to zweryfikować z tą drugą historią.

Niecałe pół godziny jazdy samochodem i byłem w miejscowości P. Tu sytuacja powtórzyła się z taką samą dokładnością; kiedy ludzie dowiedzieli się, iż mają przed sobą dziennikarza „nabrali wody w usta”. Na moje natrętne indagacje o przyczynę odstąpienia od okupacji kościoła, próbowali bagatelizować sprawę ogólnikowymi stwierdzeniami, typu: „Po prostu przejrzelśmy na oczy i tyle!”. Teraz już wiedziałem na czym to polega; oni **wstydzili się** swojej poprzedniej indolencji, swojego ograniczenia umysłowego i swoich zachowań, będących tego rezultatem. Z czego zdali sobie dopiero teraz sprawę.

Na szczęście dla mnie znalazł się ktoś bardziej rozmowny, kto nie brał bezpośredniego udziału w tamtym niecodziennym wydarzeniu, ale mimo to widział je na własne oczy z niewielkiej odległości. Starszy mężczyzna, który wyszedł akurat z pobliskiej plebani, gdzie pracowała jego żona i zobaczył taki oto „obrazek”: do grupy mieszkańców zgromadzonych przy świątyni, podszedł niespiesznie jakiś obcy mężczyzna, podając każdemu z nich rękę na powitanie. — Pomyślałem nawet, że to jakiś ich znajomy, albo znajomy ksiądz — wyjaśnił rzeczowo mężczyzna. Chciał nawet do nich podejść, ale zdziwiło go zachowanie tubylców; każdy kto przywitał się z nieznajomym, podnosił dłonie do głowy i ścisnął ją nimi, jakby dopadł go nagły atak bólu. Potem siadali, każdy gdzie popadło i tak z rękoma obejmującymi głowę, albo masującymi skronie trwali jakiś czas nieruchomo.

Potem — jakby nagle budząc się z jakiegoś letargu czy odrętwienia — rozglądali się dookoła, następnie patrzyli po sobie jak gdyby dopiero teraz się poznając. A dalej — co najciekawsze — wszyscy zaczęli się ścisnąć i całować z taką radością, jakby spotkali się po długich latach niewidzenia, albo udało im się wydostać z wielkiej opresji. Jakby wrócili do życia jednym słowem. Potem bez chwili zwłoki nie uzgadniając tego między sobą, rozeszli się do domów.

A ja nawet nie zwróciłem uwagi, w którym momencie zniknął tamten nieznajomy. Jakoś odeszła mi chęć podejścia do nich. Uciekłem cichcem do domu — zakończył mężczyzna swoją opowieść. — Pamięta pan może jak wyglądał ów tajemniczy przybysz? — spytałem z ciekawością. — Byłem od nich może z 30 — 40 metrów, a on był zwrócony do mnie tyłem. Czy ja wiem? Wyglądał całkiem normalnie; ubrany jakoś tak na jasno, jak to latem. O! I miał jasne, długie włosy, takie do ramion chyba — dokończył zadowolony ze swojej

spostrzegawczości. — A co pan powie o uczestnikach tego dziwnego wydarzenia? — podsunąłem bliżej dyktafon dla pewności. — Niby o tych co okupowali kościół? Panie! Musiał ich chyba diabeł opętać! Kiedyś to byli porządni, bogobojni ludzie. Co niedziela chodzili do kościoła, brali udział w procesjach, nie opuścili żadnej pielgrzymki do Częstochowy, żadnej wycieczki do Lichenia. Tak jak inni słuchali Radia Maryja i tak jak inni modlili się pod świętą figurą,... byli normalni po prostu! A teraz? Aż strach bierze; do kościoła przestali w ogóle chodzić, nie mówiąc już o innych powinnościach wierzącego człowieka. Nasprawdzali różnych przedziwnych książek, że nawet bibliotekarka pierwszy raz na oczy takie widziała. I czytają je bez przerwy, jakby nie mieli nic lepszego do roboty. Komputerami się panie bawią, choć to dorośli ludzie! Jakieś internaty sobie instalują, bo ponoć jest tam dużo ciekawych rzeczy. Tfu! W głowach im się poprzewracało! — machnął mi ręką przed nosem wzburzony. — Może Internet? — spytałem domyślnie. — A może! Cholera ich tam wie! Jeżdżą gdzieś na jakieś wycieczki krajoznawcze,... ale nie do świętych miejsc panie! Co to, to nie! Nie pogadasz teraz panie z nimi, bo nie ma o czym; kto by się tam interesował jakimś wszechświatem, jakąś prehistorią czy historią religii, albo Bóg wie, czym jeszcze? A do czego to nam potrzebne?! Jakby to było ważne, to by nam o tym ksiądz z ambony powiedział, ot co! — zakończył czerwony na twarzy z oburzenia na niegodziwość ludzką. Podziękowałem mu grzecznie, widząc, że więcej informacji i tak już od niego nie uzyskam.

Następnego dnia miałem już gotowy artykuł o tajemniczym hipnotyzerze, który przez podanie człowiekowi ręki i spojrzenie mu w oczy, potrafi wmówić mu, iż jest mądry, dobry i wyjątkowy. Zastępca naczelnego długo nie odzywał się po przeczytaniu tekstu, a potem zamiast pochwały — na co liczyłem — powiedział: — Rozwikłaj tę sprawę do końca, znajdź tego człowieka, doświadcź tego jego przekazu i potem opisz swoje wrażenia. To będzie coś konkretniejszego niż te domniemania z drugiej ręki, nie sądzisz? — spytał na koniec. Cóż, miał rację zapewne, jak każdy szef zresztą. Postanowiłem działać.

Zacząłem od powtórnego przewertowania bazy danych. Intuicja mnie nie zawiodła; znalazłem jeszcze dwie wiadomości dotyczące podobnych wydarzeń. Pierwsza sprzed ponad miesiąca, która mówiła o bardzo nietypowej procesji z okazji święta Bożego Ciała: wszyscy jej uczestnicy rozeszli się do domów, zanim dotarła ona do kościoła. Duchowieństwo nie chciało się wypowiadać w tej sprawie. I druga wiadomość sprzed trzech dni zaledwie; pielgrzymka pracowników poczty, licząca ponad sto osób **zawróciła** z drogi, będąc prawie już u celu. Nie podano niestety miejscowości, ale to idzie sprawdzić.

Aby się zbytnio nie rozwodzić opowiem wam w skrócie; byłem w tych dwóch miejscowościach i rozmawiałem z uczestnikami opisanych wydarzeń. Na początku — jak ich poprzednicy — nie chcieli ze mną rozmawiać, tak jak przypuszczałem wstydząc się własnej głupoty. Dopiero potem się otwierali i wyjawiali ze wstydem, że nie sądzili iż mogli być aż tak prymitywni, tak jak nie myśleli nigdy, że człowiek powinien nabywać wiedzę przez całe życie i nie przestawać na tej, którą dają mu szkoły.

A potem, kiedy już tą wiedzą zostali obdarzeni w jakiś cudownie łatwy sposób, poczuli się tak szczęśliwi i wolni zarazem, jakby dopiero teraz narodzili się do życia na ziemi. Jakby dopiero teraz życie nabrało dla nich właściwego sensu i wyrafinowanego smaku. Tej różnicy w tych dwóch stanach świadomości nie sposób opisać temu, kto sam tego nie przeżył. To trochę tak, jakby chcieć przedszkolakowi wytłumaczyć teorię względności Einsteina.

Dopiero teraz zdali sobie sprawę w jakiej ciemności umysłu żyli dotąd i jak ów stan potrafili wykorzystywać inni, co bardziej cwani i przedsiębiorczy. Ile życia zmarnowali zajmując się nieistotnymi sprawami, służąc abstrakcyjnym ideom i wykonując automatyczne bezmyślne rytuały, czcząc fałszywe autorytety i wyznając zakłamaną hierarchię wartości. Dopiero teraz to wszystko do nich dotarło, dlatego wstyd im było do tego się przyznać.

Słuchałem tego wszystkiego z mieszanymi uczuciami, a magnetofon skrętnie zapisywał te wypowiedzi. Co mogę dodać od siebie? Zaczynałem nabierać przekonania, iż to nie mogła być żadna mistyfikacja. Kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi, rozświetlone jakimś wewnętrznym światłem, na ich twarze promieniujące szczęściem, dobrocią i spokojem -wiedziałem, że mówią prawdę.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie doświadczenia, które ich tak bardzo zmieniło, lecz intuicyjnie przeczuwałem, że zatknąłem się z czymś wyjątkowym i chyba nadprzyrodzonym. Z czymś co jest nieporównywalne do żmudnego, długoletniego zbierania wiedzy i wyrabiania sobie w ten tradycyjny sposób światopoglądu. Musiało to zaiste robić na ludziach w ten sposób doświadczonych, piorunujące wrażenie. Co tu dużo mówić; zacząłem zazdrościć im po prostu. Pod wpływem tych świadectw wypowiadanych spokojnym rzeczowym tonem, pozbawionym

zarozumiałości — sam zacząłem się powoli zmieniać.

Na początku traktowałem tę sprawę jak jeden ze stopni na drodze do dziennikarskiej kariery. Jak dobry materiał do „wybicia się” na wyższy szczebel w hierarchii zawodowej. Nie obchodziło mnie co takiego doświadczyli ci ludzie, ani to czy była to prawda czy mistyfikacja. Ale z czasem mój stosunek do tej dziwnej sprawy uległ zmianie; teraz chciałem za wszelką cenę spotkać się z tym tajemniczym nieznanym i to nie po to, by napisać o nim reportaż z pierwszej ręki, ale po to, aby doświadczyć tego wszystkiego o czym tak pięknie i z tak wielkim zaangażowaniem uczuciowym opowiadali ci, którzy już to przeżyli. Czy mi się to uda? Zrobię wszystko, aby tak się stało!

Łatwo powiedzieć: zrobię wszystko. Długo by opowiadać ile mnie to zachodu kosztowało; trzy lata (a właściwie trzy letnie sezony) trwały moje nieustanne polowania i podchody, by stanąć twarzą w twarz z tajemniczym nieznanym. Znałem wszystkie rozkłady pielgrzymek, starałem się być na co ważniejszych uroczystościach religijnych. Chyba nikt tak dobrze jak ja w tym czasie, nie poznał tak dokładnie mapy religijnego folkloru. I co? Zawsze byłem nie tam gdzie on; czasem spóźniałem się o dzień, a czasem o godzinę jedynie. Nieraz dzieliło nas paręnaście kilometrów zaledwie, a nieraz miałem wrażenie, iż jest o krok zaledwie, że obserwuje mnie z ukrycia nie chcąc się przy mnie ujawnić ludziom. Chyba już zaczynałem pomału świrować na tym punkcie.

Nie dosypiałem, jadłem w pośpiechu, przemierzając samochodem czasami setki kilometrów dziennie. Ileż było fałszywych alarmów, ile zawiedzionych nadziei. W końcu dałem za wygraną; kolejne lato miało się ku końcowi i zaczynałem już mieć wszystkiego dość. Dla świętego spokoju jedynie (skoro i tak byłem w tych stronach), udałem się do pobliskiej miejscowości na uroczystą procesję obchodzoną tu od wielu lat, zawsze z wielką pompą. Czułem podskórną, iż on jest w tych stronach. Mimo to obiecałem sobie, iż będzie to mój ostatni "wypad" w tej sprawie.

Wtopiłem się w rozmodlony tłum wiernych i zacząłem bacznie obserwować otoczenie. Głośne śpiewy i zawodzenia nieco rozpraszały moją uwagę, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, iż po mojej lewej stronie nieco z przodu coś się dzieje, coś co zakłóciło na moment ustalony porządek uroczystości. Przepchnąłem się do tego miejsca i zobaczyłem kilkanaście osób (może kilkadziesiąt) siedzących na trawie, na poboczu drogi w charakterystyczny sposób trzymających się za głowę i patrzących przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Ludzie z procesji przechodzili obok, zatrzymywali się na chwilę i komentowali po swojemu to wydarzenie. Najczęściej dochodząc do przekonania, iż to słońce im zaszkodziło, albo jedzenie. — O, już się im poprawia! — zawołał stojący obok mężczyzna, bo rzeczywiście siedzący wstawali na chwiejnych nogach, rozglądając się dookoła jakby nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego gdzie są i co tu robią. A potem zdecydowanie kierowali swe kroki w przeciwną stronę do kierunku procesji. — Ale się im popier...! — skomentował mój sąsiad. -- Nic tylko udar słoneczny, mówię ci? — zwrócił się bezpośrednio do mnie, widząc moje żywe zainteresowanie sytuacją.

Rozejrzałem się bacznie dookoła, zdając sobie jednocześnie sprawę z niedokładności opisu obiektu zainteresowania. Jedynie te długie jasne włosy mogłyby być jakąś wskazówką, o ile je jeszcze nosi. Mógł być właściwie wszędzie. Rozglądałem się tak przez dłuższą chwilę wyciągając szyję ile się dało, nie mogąc zdecydować się czy iść dalej, czy zostać w tym samym miejscu. Ludzie omijali mnie przyglądając się podejrzliwie; nie śpiewałem, nie modliłem się na głos i nie żegnałem się tak, aby wszyscy widzieli. I co najgorsze, nie szedłem z innymi w tym samym kierunku.

Już miałem ruszyć z miejsca, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia i usłyszałem cichy głos: — Mnie szukasz przyjacielu? — odwróciłem się gwałtownie i zamarłem z wrażenia; naprzeciw mnie stał ten, na którego tak długo polowałem i przyglądał mi się z kpiącym uśmiechem. Nigdy go nie widziałem z bliska, ale byłem pewien, że to on właśnie. Patrzył na mnie takim wzrokiem jakby wiedział kim jestem i kogo tu szukam, a może mi się tak tylko wydawało? Miałem wrażenie, iż spojrzenie jego oczu przewierca mnie na wylot i dociera do każdego zakątka mojej duszy. Wydawało się, iż jego oczy świecą wewnętrznym światłem, mimo pełni dnia i oślepiającego słońca.

Staliśmy tak przez chwilę mierząc się wzrokiem, jakby się zastanawiał co ze mną zrobić, a potem tym samym spokojnym głosem powiedział: — Witaj wśród przebudzonych — i świat zawirował mi przed oczyma. Odruchowo usiadłem w miejscu gdzie stałem, a mój umysł został zalany potężną falą informacji. Miałem wrażenie, iż głowa mi pęknie od ich natłoku. Ścisnąłem

rękoma rozpalone czoło i skronie i poddałem się temu przemożnemu naporowi wiedzy. Lecz nie była ona podawana w formie słów, pojęć, obrazów czy jakichkolwiek czytelnych znaków. Nie wyglądało to tak jak pokazują nieraz w filmach SF; na ekranie tak szybko zmieniające się obrazy, iż oko ludzkie ledwie nadsza je rejestrować. A raczej tak, jak gdyby przyspieszyć z tysiąc razy ten film i tak skondensowany do paru sekund przekazać do umysłu ludzkiego jakąś pozawizualną drogą, albo raczej omijającą selektywną świadomość.

Analogia do gęsi karmionych na tucz, metodą wciskania im pożywienia przez długą rurę wkładaną głęboko do przełyku, narzuca się sama. Nic dziwnego zatem, że i umysł ludzki reagował w podobny sposób na tak brutalną ingerencję w od milionleci ustalony przez naturę porządek nabywania informacji z otoczenia i ich obróbkę; dostawał po prostu totalnego szoku, tracąc chwilowo kontakt z rzeczywistością.

Po tym bardzo niemiłym początku następowała jednak najpiękniejsza chwila; przebudzenie umysłu uświadamiającego już sobie tę nowo nabytą wiedzę. Kiedy już każdy bit informacji zostaje zapisany w neuronach mózgu, stając się jedną niepodzielną całością z tym co dotąd tworzyło jaźń danego osobnika. Doświadcza on wtedy drugiego szoku, tym razem poznawczego; bo oto jest tak jakby nagle przenieść go z pojedynczej ciemnej izdebki, w której mieszkał całe życie do ogromnego, wspaniałego pałacu o tysiącu pokoi, usytuowanego pośród wielohektarowego pięknego parku ze stuletnimi egzotycznymi drzewami i niewyobrażalną masą przeróżnych krzewów i bajecznie kolorowych kwiatów.

I co najważniejsze i najbardziej niewyobrażalne, to świadomość doskonałej znajomości tegoż pałacu; każdej jego komnaty i każdego najmniejszego nawet zakamarka, oraz każdej ścieżki w parku jak i każdej rośliny, od tych największych po najmniejsze. To jest najcudowniejsze i nie do opisanego wrażenie, tak piękne, że najtrafniejsza analogia tu nic nie da temu, kto tego sam nie przeżył i nie doświadczył.

Kiedy to świadomość człowieka rozszerza się nagle po krańce poznania, „wybuchając” nieomal i obejmując swym zasięgiem historię wszechświata, Układu Słonecznego a w nim młodej Ziemi, której skorupa stygła przynajmniej 0,5 mld. lat, aby stać się odpowiednim środowiskiem dla pierwszych organizmów. Gdy pod wpływem promieniowania słonecznego, proste chemiczne związki zaczęły łączyć się w większe kompleksy molekularne, stając się dzięki temu podstawowym budulcem materii „ożywionej”.

Minął miliard lat nim powstaną pierwsze komórki; uporządkowane struktury posiadające zdolność rozmnażania się przez podział, wyposażone we własną aktywność, oraz zależną od świata zewnętrznego ale własną „przemianę materii”. Powstanie pierwszych osobników staje się faktem. Mija następny miliard lat, podczas którego mikroskopijnie drobne twory rozprzestrzeniają się w ziemskim praocenie, wytwarzając w dostosowaniu do zmiennych i zróżnicowanych warunków swego środowiska, niezliczone bogactwo istot żywych. Przez samo swoje istnienie wywołują zmiany na ziemi.

Przez następny miliard lat drobne mikroorganizmy w oceanach archaicznej ziemi produkowały tlen, którego do tej pory nie było w atmosferze. Choć były mikroskopijne, liczba ich była tak niesłychanie wielka, że przemieniły one w sposób trwały chemiczny skład atmosfery naszej planety.

Od tego czasu zaczyna się wyraźne przyspieszenie tempa rozwoju. 500 mln. lat wystarczy, aby życie które do tej pory ograniczało się do mórz na ziemskiej powierzchni, opuściło osłonę wodną i zdobyło suchy ląd. Już w 200 mln. lat potem kontynenty były opanowane przez olbrzymie gady epoki jaszczurów.

Po dalszych 100 mln. lat przyroda „odkryła” zasadę ciepłokrwistości, która uniezależnia ruchliwość i aktywność istot żywych od aktualnej temperatury zewnętrznej. Potem potrzeba było już tylko 50 mln. lat do bogatego rozwoju ptaków i ssaków. Uważa się, iż człowiek oddzielił się od małpy ok. 4 mln. lat temu. Gdy mózg nasz przed mniej więcej milionem lat zaczął się powoli budzić do świadomości samego siebie, wiek jego wynosił co najmniej miliard lat. (według „Dzieci wszechświata” Hoimara von Ditwurtha).

Zatem wiedza o historii tego wszystkiego co poprzedzało powstanie nas — ludzi; zwierząt obdarzonych rozumem, wyobraźnią i ciekawością otaczającego je świata. Następnie to historia już naszego gatunku; prehistoria kultury człowieka wyrażająca się w religiach i starającej się ją zrozumieć filozofii. Religioznawstwo, astronomia (a wcześniej astrologia), kosmologia, historia wymarłych cywilizacji i ich kultur, matematyka i fizyka, antropologia, socjobiologia i etologia... oraz wiele, wiele innych dziedzin wiedzy, bez pomocy których nie sposób byłoby odpowiedzieć na nurtujące ludzkość od tysiącleci pytania: „Skąd pochodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy? Dlaczego częstokroć zachowujemy się gorzej od zwierząt, mimo to, iż uważamy

się za istoty gatunkowo stojące na wyższym poziomie rozwoju? itp."

Tylko świadomość tej wiedzy, wyrwanej naturze i gromadzonej skrzętnie od setek pokoleń przez naszych przodków, przekazywana z pokolenia na pokolenie odróżnia nas od zwierząt i czyni ludźmi. Jest istotą naszego **człowieczeństwa**, bowiem pozwala nam zrozumieć samych siebie. Ale nie w oderwaniu od otaczającego nas świata i przyrody, lecz w ich kontekście. Uświadamia nam i pozwala zrozumieć, iż jesteśmy częścią tej wielkiej, rozciągniętej w czasie i przestrzeni **całości**.

Kiedy już jako tako doszedłem do siebie (tak jakbym wracał z bardzo dalekiej i długiej podróży), zdałem sobie sprawę z tego co się stało przed chwilą; pamiętam, iż w młodości zaczytywałem się książkami S. Lema, a w jednym z jego opowiadań były opisane dwa sposoby **przekonywania** rozmówcy do swych racji; pierwszy to zawiła i nieskuteczna argumentacja słowna, a drugi to przekazanie bezpośrednio do umysłu rozmówcy całej na ten temat informacji, która do dyspozycji miał... sztuczny mózg (dziś byśmy powiedzieli: sztuczna inteligencja). Bo ów fragment dotyczył rozmowy dwóch maszyn myślących.

Wiadomo, że zwykły człowiek nie posiada takich możliwości. Dlatego przekonywanie do swych racji jest procesem długotrwałym i w dużym stopniu jałowym, gdyż ludzie na ogół wymieniają swe poglądy bez ich uzasadniania, bez długiej drogi przemyśleń i nabytej wiedzy, dzięki której do nich doszli i uznali je za swoje własne. Dlatego tak trudno im się porozumieć.

Jak już wspomniałem zwykły człowiek nie posiada takich możliwości jak te myślące maszyny. Zwykły tak... lecz ten człowiek miał tę niespotykaną u innych możliwość; po prostu potrafił telepatycznie (a może jakoś inaczej?) przekazywać ludziom z którymi miał kontakt wzrokowy **całą swoją wiedzę**. A miał ją zaiste imponującą, dlatego myślę, iż wiele czasu musiał spędzać w bibliotekach i czytelnich, stale ją uzupełniając i poszerzając. Tak to tylko sobie wyobrażam, oczywiście.

Domyślcie się już na czym polegała wyjątkowa moc daru tego niezwykłego człowieka? Otóż potrafił on całą swoją wiedzę nie tylko bezpośrednio przekazać do umysłu drugiego człowieka — patrząc mu w oczy jedynie — ale też pokonać naturalne bariery istniejące w jego umyśle i broniące go przed nadmiarem informacji z zewnątrz. Aby chciał on uznać ją za swoją własną, zaakceptowaną i przemyślaną **prawdę**. Aby bez chwili zwłoki odrzucił dotychczasową fałszywą wiedzę, wpojona mu przez „duchowych przewodników", którzy dzięki niej panowali nad nim, manipulując nim jak bezwolną marionetką, pociągana za niewidoczne sznurki. Aby ją sobie głęboko **uświadomił**, a nie tylko o niej wiedział. Bo **znać** drogę, a **podążać** nią, to dwie różne sprawy. W taki sposób to się objawiało?

Pierwszym wrażeniem jakie ogarniało człowieka po tej „operacji" na jego umyśle, była niesamowita radość, euforia i szczęście z posiadania tego niewyobrażalnego wręcz skarbu. Zaraz potem wyzwalające uczucie **wolności**, a dopiero później wstyd za tego, kim się dotąd było. Nie mogąc oprzeć się tym odczuciom przepełniającym mnie całkowicie, poszukałem wzrokiem tego, który to sprawił by mu podziękować przynajmniej.

Był niedaleko; podchodził do ludzi i tak jak mnie dotykał nieśmiało, albo zagadywał coś cichym głosem, a ci odwracali się ku niemu patrząc niechętnie w jego oczy. Potem siadali nagle jakby się im robiło słabo, a on zwracał się już do następnego osobnika, może pytając go o przyczynę tego zamieszania, a może o stan samopoczucia. Zauważyłem w tym momencie coś jeszcze; nie każdy na kogo spojrział ów mężczyzna doświadczał tej **zmiany**. On wybierał tych, których chciał oświecić, choć nie mam pojęcia według jakich kryteriów.

Z trudem poderwałem się i roztrącając zgromadzonych ludzi podbiegłem do nieznanego. Odwrócił się ku mnie wyraźnie zdziwiony i zaskoczony moją postawą. Rzuciłem mu się na szyję i zacząłem obcałowywać go i ścisnąć ze wszystkich sił, wołając przy tym iż jest moim wybawicielem czy też wyzwolicielem, nie pamiętam już dokładnie, ale jakoś tak. Bronił się nieporadnie mamrocząc coś pod nosem, że nie ma o czym mówić, że to niepotrzebne i abym mu nie przeszkadzał, bo to co robi jest ważniejsze od podziękowań. A potem rozejrzał się ukradkiem dookoła, jakby wyczuwając jakieś zagrożenie i wypowiedział dziwne słowa: — Nie mam ci za złe tego co zrobiłeś,... nie wiedziałeś co czynisz... -

Nim zdążyłem zorientować się co ma na myśli, stało się wtedy coś, czego będę żałował do końca życia... lecz kto mógł to przewidzieć? Nagle obok nas pojawiło się jakby spod ziemi, czterech wysokich mężczyzn w ciemnych garniturach i ciemnych okularach. Dwóch z nich zarzuciło mu na głowę jakiś czarny worek i sprawnie wykręciło i związało ręce na plecach. Trzeci rozganiał zbiegowisko, kiedy prowadzili go do pobliskiego samochodu, a czwarty w tym czasie wylegitymował mnie, zapisując moje dane do notesu. Dobrze, że miałem legitymację

prasową, nie zostałem więc zatrzymany.

Trwało to wszystko może niecałą minutę, samochód ruszył z piskiem opon i tyle go widziałem. Jak się potem okazało nikt, nigdy już go więcej nie widział. Ślad zaginął po tym tajemniczym nieznanym jakby nigdy nie istniał i nie zrobił dla ludzi tyle dobrego. Okazało się bowiem, że nie tylko ja na niego polowałem. Polowały też na niego służby specjalne (zapewne musiał zdawać sobie z tego sprawę; panowanie nad umysłami ludzi to odwieczne marzenie wojskowych i dzierżących władzę), a ja nieświadomy całując go tak na oczach wszystkich — wskazałem go im jedynie, „wystawiłem go na strzał” jak to się mówi w języku myśliwych. Ba! Gdybym mógł to przewidzieć!

I co? Myślicie zapewne iż po tym niefortunnym wydarzeniu wziąłem sznur, zrobiłem pętlę i poszedłem się powiesić, jak ów nieszczęśnik Judasz Iskariota? Nic bardziej błędnego! I myślę, że on także byłby daleki od tego czynu gdyby znał prawdę i zastanowił się nad nią; po pierwsze — został wrobiony odgórnie w tę „zradę”, tak! Tak!

Przeczytajcie uważnie ten fragment z ewangelii św.Jana: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: jeden z was mnie zdradzi”. Kiedy uczniowie zaczęli go pytać kto to będzie, Jezus odparł: „To ten dla którego umaczam kawałek chleba i podam mu”. Umoczywszy więc kawałek chleba, wziął i podał Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty. A po spożyciu kawałka chleba wszedł w niego **szatan**”.

Nie mam więc racji?; Judasz został typowym kozłem ofiarnym. Widocznie „ktoś” na górze uznał, iż ładniej to będzie wyglądało, kiedy Syn Boży zostanie zdradzony przez „niegodziwego” człowieka. Biorąc pod uwagę boże atrybuty — wszechmoc i wszechwiedzę — żaden czyn boskiego stworzenia, żadne wydarzenie na ziemi nie może zajść bez bożej woli i wcześniejszej wiedzy. Jeśli człowiek czemuś jest winien, to jego Bóg — który to zaplanował nieskończenie wcześniej nim ten człowiek przyszedł na świat — również i to w nieporównywalnie większym stopniu.

Po drugie — gdyby Jezus nie został zdradzony i wydany na poniżającą śmierć, nie mogłoby zaistnieć chrześcijaństwo jako religia soteriologiczna, oparta na ofierze z życia **niewinnego** za grzechy winnych, czyli nas wszystkich. Zatem czyn Judasza i jego późniejsze niepotrzebne męczeństwo i śmierć, zasługują na jak największą pochwałę i nagrodę, a on sam powinien zostać jednym z największych świętych chrześcijaństwa, obok Piotra i Pawła.

Po trzecie wreszcie — jego piękna postawa tym bardziej powinna zostać doceniona w katolickim kraju, w którym za jednego z głównych świętych uznawany jest biskup — zdrajca, a innego zdrajcę władza nagradza tysiącokrotnie hojniej niż jego biblijnego odpowiednika, hołubiąc go na wszelkie możliwe sposoby i wchodząc mu w tyłek bez mydła. Ale to tylko taka luźna dygresja, wracajmy do tematu.

Otóż owszem, miałem poczucie niezawinionego przyczynienia się do jego pojmania, a być może w konsekwencji i do jego śmierci. Dlatego, aby w jakiś choć minimalny sposób naprawić tę wyrządzoną krzywdę, postanowiłem opisać tę historię tak jak ją zapamiętałem, a potem — jeśli mi się uda — również inne jej podobne.

Może chociaż w ten sposób; niezbyt udolnie i nie tak przekonująco jak on, ale pełen szczerych chęci i zadośćuczynienia — zrekompensuję choć w części tę niepowetowaną stratę dla tych, którzy go potrzebowali i czekali na niego. Którzy bez jego pomocy nie **przebudzili** by się nigdy z letargu umysłu, będącego ich **normalnym** stanem istnienia. Dlatego rzuciłem dziennikarstwo, przybrałem literacki pseudonim i w ten sposób powstał ...Lucjan Ferus.

*

Ps. I jeszcze jedno; możecie mi wierzyć albo nie, lecz nigdy nikt mi nie zapłacił ani grosza za ten mój „zdradziecki” pocałunek. Był to mój bezinteresowny i spontaniczny odruch podyktowany wzniosłością i wyjątkowością tamtej chwili. Każdego dnia jednak od tamtego czasu żałuję swojej wylewności w okazywaniu uczuć.

Jedynie pociesza mnie nadzieja, iż być może ja też się tym czynem do czegoś przyczyniłem: może kiedyś ludzie, którzy dotąd pozwalali myśleć innym za siebie, zaczną myśleć samodzielnie... może choć niektórzy z nich... kto wie?

„Aby ludzkość przetrwała i wznosiła się ku wyższemu życiu, w którym jest coraz więcej świadomości, wolności i poszanowania człowieka, trzeba ją przekonywać, że warto w tym kierunku podążać” (Pierre Teilhard de Chardin)

Lucjan Ferus

Autor opowiadań fantastyczno-teologicznych. Publicysta Racjonalisty

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 21-07-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4262) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4262>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl